

BOLESŁAW LEŚMIAN

Nieznana podróż Sindbada Żeglarza

BOLESŁAW LEŚMIAN

Nieznana podróż Sindbada Żegl- rza

I

...Że mi się dziewczę upatrzone wzbrania,
Nieobecnością ciała w mem objęciu
Pustosząc ducha, co w nic się rozdzwania —

Podróż

Więc ja na przekór sobie i dziewczęciu
Tej się nieznaney podjąłem podróży,
By wlec swe głody po morzach dziesięciu!

Lecz i mórz dziesięć, zaprawdę, nie znuży
Tego, co zaznał pragnienia pieszczoty,
Na którą nawet nie upadł cień róży.

Ale najgorzej, gdy właśnie zmierzch złoty,
W oczach twych dziewczę zastawszy — powoli
W sen je rozemgli dla drwiny lub psoty...

W sen tem pewniejszy, że nawet nie boli,
A w bezbolesność patrzysz, jak w przynętę
Dla swej niemocy i swojej niedoli.

Lecz dokąd skrzydeł skierujesz zniechętę
Bez tej, co ziemię odarła ci z cudów?
Czem są twe wargi — jej wargą nie tknięte?...

Czem dłonie, które nie zaznały trudów
Przy piersiach, śpiewnych westchnienia hałasem?
Marniejąc, wędzną w tej próżnicy nudów!...

A gdy je spleciesz — to tylko temczasem,
A gdy rozpleciesz — to tylko tak sobie —
Głaszcząc ich szorstkość wspomnienia atlasem...

Ale ich przed się nie ściągniesz w tej dobie,
By zrywać kwiaty lub zgarniać słońc złoto:
Na wszystko czasu zbraknie ci w żalobie!...

Z piersią dziewczyny zmóc się chciałeś po to,
Aby wykrzesać śpiew z duszy na usta,
Lecz niewzajemność zwarła je niemotą!

Miłość niespełniona

O, jakie zradna i krwawa, i pusta
Jest baśń, co tęczą przesłania grzech straty!
Na skroń skazańca narzucona chusta...

Choćbyś piękniejszą dziewczynę przez kwiaty
Innych ogrodów wypatrzył w podróży —
Cóż ci z jej piękna, ty — bólu skrzydlaty?

Cierpienie

Czar, dobrze znany, już się nie powtórzy...
A inny? — Nie chcesz innego w tej guszy
Odczarowanej, co słońcem się mruży!

Miłość niespełniona

Już żadna w tobie nie wskrzesi tej duszy,
Którąś miał, patrząc w źrenice, gdzie pała
Twój los, nim ciebie w jęk i w pył pokruszy!

Dusza

A wszakci dusza w szczęściu się stawała
Podobną ślepo do głosu jej brzmienia,
Do warg purpury, do zapachu ciała!

Naśladowająca we śnie poruszenia
Jej ukochanej za wszystko postaci,
Brała z niej — powab, chrzest brała imienia!

Brała, nie wiedząc, że nagle utraci
Wszystko, co wzięła, nim jeszcze posiadała —
Że za wyznanie — tym skarbem zapłaci!...

A gdy pojęła ten mus — to poblądła,
Czując wstyd nędzy i próżnię, i ciemność,
Jak odwrócone do muru zwierciadła!...

To jedno było jej żądzą: wzajemność —
Reszta — wygnaniem w przerażeń samotę,
Poza kres ziemi, lub kędyś w podziemność!

Ku życiu wieko rozchyliła złote —
Dziś — trumna, której skarb ciała odjęto,
Zwraca wieczności — pustkę i ciemność!...

Tęsknota

A jakże długo czekała na święto
Nagłych zrozumień, by ująć w ład ścisły
Słów określonych — dolę rozpierzchniętą!

Jeśli te słowa w noc twoją rozbłysły,
To wiedz, że śledzę twe noce i dni twe,
I że miłosne nie myślą domysły!

I ciebie życie gna w jakąś tam bitwę...
Jam chciał cię unieść ku niebu ręką mocą,
Jak nagą, z włosom rozwianym modlitwą!

Modlitwa

Dziś — nie mam czem się pomodlić, ni o co...
A zasię Bogu cóż po takich dłoniach,
Które się w znoju i w grzechu nie spocą?

Kondycja ludzka

Więc wciąż uboczem a wciąż po ustroniach
Płyn, zbiegu życia, co poszło w lamenty!
Płyn, póki jeszcze krew śpiewa we skroniach!

I wypłynąłem na morskie odmęty...

II

Okręt mój starszy od modrej wód chwały!
Wnętrz jego szumi snem dębów tysiąca,
Co niegdyś żywcem po borach szumiały.

Okręt

Lecz mu starością tak pamięć się zmaça,
Że nie pamięta tej borów tęsknoty,
Co dęby z lądu w otchłanie mórz strąca.

Starość, Pamięć

Przerósł on życia własnego kres złoty
I swym nadmiarem już grąży się w Bogu,
Na ziemi mało mając do roboty...

Płyniesz w nim, jako w ruchomym barłogu,
Gdzie wszystko drzemie, prócz skargi twej głuchej,
Rozpanoszonej na morza rozłogu.

Słońce, nabrzmiałe od skier zawieruchy,
Złotym wąwozem po fali się dłuży,
A fala szcerbi wąwozu szlak kruchy...

I, zacerpnąwszy zeń światła do kruży
Swoich błękitów, wychyla w odmęcie
Tę kruż¹, co pianą po brzegach się burzy.

Gdziekolwiek spojrzę — tam lądów zniknięcie,
I, zda się, otchłań, spodem zaczajona,
Widzi, że płynę i w jakim okręcie...

Morze, Otchłań

Widzi tak właśnie, jak ta woda słona,
Co swe szmaragdy miażdżąc w słońc ukropie,
Spionem ślepiem chce odbić skał łona!

Więc tak widziany — płynąłem po tropie
Fal, nasłuchując ich szumu, że ginie,
Niby szum w nagle rozwiązany snopie.

Nie odróżniałem już w owej godzinie
Czasu od fali, co światła rozpyłem
Znaczy swój pobyt i zanik w głębinie.

I zdało mi się, że niegdyś sam byłem
Brzegiem, zniknionym w bezkresów przeźroczu,
A od którego swój okręt odbiłem...

I że sam siebie straciłem już z oczu,
Stając się coraz to bardziej bezbrzeżny
W rozłące z sobą i w swem podobłoczcu...

I coraz bardziej sobie niedostrzeżny,
Przydany falom ku ich przemijaniu
Wśród pian dokoła zieloności śnieżnej.

I wtędym ujrzał w mórz rozkołysaniu
Wyspę, skupioną w zadumy spowiciu
I w nieustannem nad głębiemi trwaniu.

Wyspa, Rośliny, Woda,
Natura, Motyl

¹kruż (daw.) — kielich, naczynie do picia. [przypis edytorski]

A spoczywała na własnym odbiciu,
Jak na obrzmiałym zielenią cokole,
Co widniał wszystek w podwodnym ukryciu.

Czem ona w górze — tem on był na dole:
W tych samych kwiatach tych samych owadów —
Lecz nieco inne — bo wodne swawole...

Wzloty ich były podobne do spadów
Usilnych w głębie, gdzie fali turkusem
Wezbrała bezden' wywróconych sadów.

Ptak, w nich dojrzany, szedł skrzydeł przymusem
Na dno — skroś liście... Zaś woda przez szpary
Tych liści biegła niepochwytym kłusem.

Ledwo ją mogłeś rozpoznać po szarej
Przezroczy: tak ją wypełniły szczelnie
Kwiatów, motyli i liści nadmiary.

Z okrętem moim płynąc niepodzielnie,
Brnąłem w tych dziwów i snów grzędawicę,
Oczarowany strasznie i śmiertelnie!...

Tam zarzuciłem w szmer wody kotwicę,
Co się grążyła kolejno w ziół sploty
I właśnie w złotą kędyś motylicę...

Sielanka, Szczęście, Raj

A ta — zmacona — rozchwiała swe loty
I znikła w brzdach, jak gdyby tam — w toni
W nic się rozwiązał nagle supel' złoty...

I, gdym wyskoczył na brzeg — jeszcze o niej
Coś śnił, z radości zaciśnięte pięście
Wtłaczając w kwiaty i wężąc jad woni!

Zapach

Gdzieś — na dnie duszy zaczajone szczęście —
Wybiegło ze mnie na słońce, na kwiaty,
By trwać w pszczół brzęku i łątek pochrzęście!

I biegłem dalej, wiedząc, żem pstrokaty
Od słońca, które zbryzgało mi złotem
Oczy i włosy, i wargi, i szaty!

Że ptakom zdam się zaledwo migotem
Światła w zieleni!... Zjawieniec słoneczny,
Co się sam sobie złoci mimolotem!

W pierś mię uderzył szum lasów odwieczny
I okrzyk ptaków, uwięzły w gęstwinie,
Zapamiętały, zdyszany, serdeczny!

Gdy, biegnącemu w światel' gmatwaninie,
Już się pół nieba nagromadzi w oku,
To mu z tych oczu cała ziemia zginie!...

Oko

I mnie zginęła, że — gotów do skoku —
Stanąłem, dłonią szukając tej dali,
W którą mam teraz biec z cieniem u boku.

Aż tu — na długość dwóch sznurów koralu,
Albo na miarę dwojga moich cieni —
Przede mną chata, jak dziw się zuchwali...

A z tak przezroczych ciosana kamieni,
Żeś widział wnętrza nietajoną wzbronność
I sprzęt wszelaki w świetlicy i w sieni.

Z sieni — w przejrzystą świetlicy ustronność
Szła oto właśnie w najdalsze zakąty
Dziewczyna, w marzeń wpatrzona dozgonność.

Za siódmą górę — chyba w kraj dziesiąty
Patrzyła, ręce nieznośne za szyją
Wiążąc wygodnie w dwa białe trójkąty...

I w tył warkoczem wstrząsnęła, jak żmija.
Jam ją tak z mego oglądał ubocza:
Nagą — idącą prosto w sen — niczyją...

Ledwo nas ściana dzieliła przezrocza,
I hen — w upale jakaś dał tajała,
Kroplami złota ściekając w krzów² zmrocza.

I pomyślałem: niech spojrzy!... Spojrzała...
A, zaniebawszy rozwiązania dłoni, —
Płonęła przeciw i nieruchomiała...

Tak my patrzyli — każde z swej ustroni —
Czując, jak czas nam pod rzesą wstrzymany,
Bez tchu przemija i sam siebie trwoni...

Było nam w oczach, jakby dwa orkany
Zemdlały w ciszę, podobną zieleni
Dwu łąk, na które dwa spadły tumany!

I gdyśmy jeszcze byli tak wpatrzeni,
Szepnąłem: «Chato upojna, jak wino!
I ty — świetlico! I ty — moja sieni!

Tyżeś to przyszła, wiosenna godzino
Miłosnych przygód i pierwszej rozmowy
Z nieznaną jeszcze dotychczas dziewczyną?

Tyżeś mię zdybał, zawrocie mej głowy?
Kto od pierwszego nie szalał wejrzenia —
Ten nie zna szału i sen ma jałowy!

Bądź pochwalona przez wszystkie westchnienia
Ściano przezrocza za to, żeś przede mną
Nie utaiła nawet stóp jej cienia!

²kierz (daw.) — krzew. [przypis edytorski]

Bądź pochwalona ziemio za tę ziemną
Moc, która słońcu narzuca swe kwiaty!
Wyjdz, dziewczyno, na rozkosz wzajemną!

Wyjdz z marzenia, z omdlenia i z chaty!...»
I wyszła, pustkę czyniąc we świetlicy,
I zawołała szeptem, jak w zaświaty:

— «Patrz na mnie i pozbawiaj tajemnicy!
Bo z dawna pragnę wszystką męką ciała
Odbić się w czyjeś szerokiej źrenicy!

Dlatego taką chatę zbudowała,
Ażebym widna była w mej niemocy
Gwiazdom i słońcu! Wszystkiemu, co pała!...

Widział mnie sen mój własny, sen sierocy,
I widział motyl i bąk pełen znoju,
Jak mię samotność utrudza po nocy!

Bezczynna — w chaty przezroczej postoj
Nieustannością wonnego istnienia
Poila ducha, bo pragnął napoju.

Czy i ty także doznajesz pragnienia?
Patrz we mnie — w piersi i w duszę i w lice, —
I stóp różowość uważ od niechcenia!...

A jam rzekł, patrząc w moją samotnicę:
— «Skąd twa ze światem na wyspie rozłąka?
Gdzie twa ojczyzna? Kto twoi rodzice?»

— «Rodzice?... Słuchaj: w pamięci się błąka
Ni to twarz słońca... ni to żar zbyt czyny...
I po raz pierwszy ujrzała gdzieś ląka...»

Więc zrozumiałem, że ją traf słoneczny
Stworzył i ciała białośnieżną ciszę
Rozśpiewał nagle w purpury zgiełk wieczny —

I rozkołysał w znój — i wciąż kołysze...
A gdym w nią patrzył — tak znojną bezkreśnie,
Myślałem, że z patrzenia zaniedyszę!

A ona rzekła: «Przemijam boleśnie:
Śnią mi się nocą ogień i szkarłaty,
Barw ostateczność przeraża mię we śnie!...

Dzień bywa jeno we kwiaty bogaty,
A że prócz kwiecica — nikogo wokoło,
Więc do zmęczenia zrywałam te kwiaty!»

Mówiła jeszcze, że nieraz na czoło
Kładła dłoń własną tak zwinnym odruchem,
Jak czyjąś obcą — zdradziecko wesołą...

Samotność

A raz — niedawno — że stała się duchem
I, jak w głęb sadu, poszła w niewidzialność,
Szumiącą kędyś — nad urwiskiem głuchem...

Pytała jeszcze, czy wierzę w upalność
Słońca — w ogrody, widziane przelotem,
Od których w oczach mży sama oddalność...

A jam jej mówił o wszystkim i o tem,
Jak ducha w morzach nie mogłem pomieścić,
Ani utwierdzić pod gwiazdnym namiotem —

Ani po kwiatach w ciszę rozszeleścić!
I o dziewczynie, co tak nie umiała
Ni łkać, ni pragnąć, ni kochać, ni pieścić —

Zmysły, Erotyzm, Flirt,
Spotkanie

Ni snem się w niebo zamierzyć, jak strzała,
Ani wysłuchać modlitwy, szeptanej
Przez własną duszę do własnego ciała...

I gdym to mówił, wspomnieniem zdyszany,
Ona te słowa w rozszerzone oczy
Brała, jak w głębie cienistej altany.

I odgarniała natrętnych warkoczy,
Ażeby przydać uwagi żalobie
Swego słuchania — boleśnie ochoczej.

I rzekła, dłonie załamując obie:
— «Czy tamtą mogę tem zwalczyć, że jestem?...
Tem tylko jednym, że jestem przy tobie?»

Zazdrość

A wymówiła to niemal szelestem
Warg, którym własne bruździły korale,
I niemal głosu już echem dwudziestem...

— «Tamtą — szepnąłem — nie godna jest wcale
Trwogi słów twoich! I gdyby tak można
Myślą śmierć zadać pomimo oddale...»

— «Zabijmy! — rzekła nagle, nieostrożna —
Myślą zabijmy! Niech z czarów jej życia
Nie pozostanie nawet mgła rozdrożna!»

I wyrzuciła z warkoczów ukrycia
Dłonie, jak z nagle rozdwojonej szaty,
I wyciągnęła usta, jak do picia...

Wszystkie nam naraz zaszumiały kwiaty.

III

Im się uważniej przyglądam dziewczynie
Od wschodu słońca, aż do gwiazd pokazu,
Tem senniejsza dusza w domysłach mi ginie.

Spytany nawet z błękitów rozkazu
O barwę oczu i współbarwę włosów,
Nic bym nie umiał powiedzieć od razu.

Bo o poranku, skoro świt i rosa,
Na piersi mojej z uśmiechem omdlewa
Błękitnooka i złocistowłosa.

Lecz kiedy wieczór mrokami obrzmiewa, —
Ciemnieją włosy, zmierzchają źrenice
I kruczym splotem nęci czarnobrewa...

Próżno pieścizotą badam tajemnicę,
Wargami pijąc rozkosz tej przemiany,
Co w jednej — dwie mi daruje siostrzyce.

Jak gdybyś rozlał sen jeden w dwa dzbany
I jagód przydał dla samej czerwieni
I dla wonności, ku słońcu wywianej!

Gdy myślę o tem — to w oczach się mieni,
A dusza cudów nasłuchuje czujnie,
Bo kochać tylko umieją — zdziwieni!...

Zaprawdę — byłem kochany podwójnie:
Inaczej z rana i zmierzchem inaczej,
Dwóm snom odmiennym dając ramion spójnię!

I w niezrozumień upojnej rozpaczy
Zaprzepaszczałem w dziwach tego ciała
Zmysłnego ducha niepokój tułaczy,

Wobec tych kwiatów, gdzie rosa mży biała,
Wobec księżycy, co wzdyma się złotem —
Nieraz w objęciach moich — wieczorniała...

Wieczorniejącą — spytałem przelotem
Szeptów, zdyszanych podziwem rozkoszy,
Czy wie, że inna?... Nie wiedziała o tem...

Ale w niewiedzy, na pozór macoszej,
Czuła, że coś w niej na wieczór się zmienia,
Coś się przebarwia — i czai — i płoszy...

Czuła przeróżność wonnego istnienia
I wszechmożliwość, i wszechniespodzianość,
I uśmiechnięty czar niezrozumienia...

I tajemnicy znojność i różaność,
I Boga czuła, niby dąb szumiący,
Pod którym ciała spoczywa pijaność!

A, zrozumiawszy, że sama — niechcący —
Jest między dziwy wliczona i róże,
Wyszła z mych objęć w świat, zmrokiem gorący —

I na pobliskie wszarpnęła się wzgórze,
I tam — w księżycu wielkiem posrebrzysku
Stanęła — czerniejąca na lazurze!

— «Chce mi się płaszać tu właśnie — w rozbłysku,
By zbadać płasów zadumą przekorną,
Czem byłam w chaty przezroczej schronisku?

Rankiem — zaranną, wieczorem — wieczorną,
Wobec bezkresów, jak one — bezkresną,
A wobec jezior, jak one — jeziorną...

W polu mi — polno, a w lesie mi — leśno,
Dość mi wbiec w gęstwę, by stać się tam drzewną
Zmorą, dębowi jakimś rówieśną!...

Chcę nagłą wiedzę o sobie, snem śpiewną,
I już od dzisiaj w duszy nieustanną
Głosić ze wzgórze w tę ciszę rozwiewną!

Chce mi się w śnieżność księżycy wbiec sanna
Wzwyż rozszalała, nim szepniesz ust skrajem
Czy mnie wieczorną wolisz, czy zaranną?...

A choć obydwie zazdrosne nawzajem,
Obydwóm przysięż zarówność kochania,
Bo my ci obie grzech wszystkich oddajem!

Przysięż, że nigdy z mych piersi posłania
Nie zdźwigniesz ducha, by ująć mu trudu
Wiekuiściego nad szczęściem czuwania!

Że będziesz — wzorem złotego gwiazd ludu
Śnił bezrozłąkę swej duszy z błękitem,
Choćby ją uląkł snu nadmiar i cudu!

Że nie zawołasz wspomnieniem ukrytem
Dziewczyny tamtej, dziewczyny zwyczajnej
Przy mnie, co jestem dwóch w jednej rozkwitem!

Że w pieśni leśnej i w pieśni ruczajnej
Będziesz wyznawał odtąd mimowolność
Serca, chciwego swobody rozstajnej!

Przysięż na bogów do śmierci niezdolność,
Że mi nie zbiegniesz hen — w niemiłowanie,
W głuchą bezleśność i w nudną bezpolność!...»

— «Przysięgam tobie, że w żadne rozstanie
Nie ujdę duchem z twojego objęcia, —
Gdzie miłość moja — tam moje otchłanie!

I będę chłonał czar twego zaklęcia,
Bezrozum szczęścia i zamrocz pieszczoty
Długo — bez przerwy — aż do wniebowzięcia!

Przysięga

Aż bóg nade mną, niby wiszar złoty,
Szumiąc w bezmiarach bujnością potęgi,
Stłumi płas serca i głowy zawroty!»

I jeszcze pełen dreszczu i przysięgi —
Biegłem ku wzgórz, jak fala do brzegu,
Srebrnem bezdrożem księżycowej wstęgi.

Czekała na mnie — na szal mego biegu,
Nucąc i piersią, i kibicią całą
Od stóp do głowy — pieśń bez słów szeregu...

Jak gdyby tańcem zakłócone ciało,
Że mu ciążyła słów żmudna osłona,
Samym słów brakiem — swą nagość śpiewało!...

Tak śpiewającą — porwałem w ramiona
I w znak przegiąłem — jeszcze śpiewającą —
Czując, jak w niej — przegiętej — śpiew ten kona...

I jak od tego skonu — sny się mącą...

Śpiew, Spotkanie

IV

Czym się spodziewał, czylim to przeczuwał,
Że tęsknotami powrócę w te światy,
Gdzie się szal dawny tumanem osnuwał?

Choćbyś piękniejszą dziewczynę przez kwiaty
Innych ogrodów wypatrzył w podróży —
Cóż ci z jej piękna, ty — bólu skrzydlaty?

Czar, dobrze znany, już się nie powtórzy, —
A inny? Nie chcesz innego! Chcesz właśnie
Tych samych dreszczów i tej samej burzy!

Ja — Sindbad, żeglarz — zabłąkany w baśnie,
Gdzie mgła naokół wspomnieniem wysnówna,
Mam ducha, który bez błysku — nie gaśnie!

A w miłowaniu — nikt mi nie dorówna,
Chyba, że serce zbezwładni tęsknota,
Córka księżycy — błada Księżycówna!

Umiem ja różą naznaczyć te wrota,
Które w noc trzeba pukaniem zakłócić,
By się rozwarły na jasność żywota.

Umiem miłości ów przepych przywrócić,
By ci się stała, jako śmierć, jedyna —
Umiem się dąsać, weselić i smucić —

I kazać komuś, co mnie nie wspomina,
By wielkim cieniem legł na mojej duszy,
Jak na słonecznym zegarze — godzina!

Tęsknota

Z tym cieniem w drzewnej zapodziały głuszy,
Czułem, jak za mną tęsknota w ślad kroczy,
Żem do rąk mógł ją brać, jak kij pastuszy.

Wówczas mnie dziewczę pytaniem zaskoczy:
— «Czemu, gdy pytam, czuję się zuchwała?...
Czemu natrętna, gdy patrzę ci w oczy?...

Czemu mnie pieścisz nie tak, jakom chciała, —
Jakby się twoje oduczyły dłonie
Pochłaniać ślepo kształt mojego ciała?

Choć ja — w objęciu, choć ja — na twem łonie,
Lecz nie ja — w duszy i tam — pod powieką:
Ty patrzysz w inną, całując me skronie!...

Dreszcz, ze mnie wzięty, na tamtą — daleką
Przenosisz w myśli, jak skradzioną falę,
Która się nagle rozminęła z rzeką!

Czyli przysięgi, szeptane mi w szale,
Dziś przeciwstawiłem okrutnym radosne,
Jak darowane odbierzesz korale?»

A ja jej na to: «Przysięgi miłosne
Mogą i muszą, i chcą być złamane!
I cóż, że wiosna przysięga na wiosnę?

Przysięga, Miłość

I cóż, że harfa na struny harfiane
Przysięga wierność jednemu śpiewowi?
Zemszczą się kiedyś te — niewyśpiewane!

Nie jedną zorzą niebo się różowi!
A dusza, niby ta zieloność drzewna,
Od złotych żuków roi się i mrowi...»

Na to dziewczyna odpowie mi gniewna: —
«Dałam twym żukom do syta napoju:
Dwoistość czaru, ja — baśni królewna.

Dałam sen różny — w mych piersi rozdwoju:
Oczy z chmur czerni i oczy z błękitu,
Włos hebanowy i złoty od znoju.

Dałam ci zmienną przeczutność zachwytu
Z hebanu w złoto, z ciemności w purpurę,
Z tajemnic nocy — w oczywistość świtu!

Po spadłej rosie rozpoznajże chmurę,
Z którejś brał w usta napoje wciąż nowe,
Wiedząc, że sycą, a nie wiedząc — które...

Lecz dziś?... O, gdybyś mieczem rozciął głowę,
Gdzie wre to, czem się kiedyś w śmierci zdrzemnęę,
I zajrzał nagle w mroki rubinowe —

Zazdrość

Tobyś wyszedł morderstwo nikczemne,
Co się tam wiecznie po ciemku odbywa,
I krwawych poszlak ślady potajemne!

Tyś mi poszepnął tę myśl! Ja — zgadliwa —
Jak oswojoną wzięłam ją gadzinę,
A myśl ta parzy, jak złota pokrzywa!

Tak! w myśli — tamtą zabijam dziewczynę!
Nieraz mi głowę kołyszac w swej dłoni,
Kołyszysz razem i jej zwłoki sine...

Choć upojona od rosy i woni —
Przekleństwem krwawem potrafię ja jeszcze
Dosięgnąć tamtej, co twarz ci snem płoni.

I jej śmierć tobie wesoło obwieszczę,
Jak rozśpiewana jej zgonem mogiła!
A słów nie będzie, będą tylko — dreszcze...

Będzie płas ciała, któremu ulżyła
Ta nieobecność nagła w całym świecie
Drugiego ciała!...»
I gdy tak mówiła,

Wspomniałem, nie chcąc, że sam już... raz... przecie,
Czując w niej taki płas bez wysłowienia,
Biegłem — znęcony — przez światel zamiecie...

Że myśli nasze hen — w krainie cienia
Już się spotkały — jawne i namiętne,
Bom śmierci owej też pragnął — bez chcenia...

I mnie by takie ulżyło doszczętne
Zniknięcie w świata całego bezmiarach
Tamtego ciała, co było niechętne!

Niechęć ta za mną szła po wyspy jarach,
Jak pies, co w oczy zaglądał pana,
Wyje na księżyc, odbity w ich szparach.

Cóż mi zostało? Pył złoty — mdła piana!
I owo wiecznie zdyszane wspomnienie —
I w szkarłat własny zapatrzona rana!

I słów zdziwionych nagłe zniechęcenie,
Gdy, zamiast łączyć w śpiew różnic przewinę,
Bezśpiewne w otchłań spadają, jak cienie...

A gdy te cienie przynęca dziewczynę,
Wnet ją otoczy i smutek, i złuda,
Niosąc jej nagłą śmierci bezprzyczynę.

Bo komu pierwsza miłość się nie uda,
Goniąc za inną — zemsty nie pokona
I depcze w drodze napotkane cuda.

Miłość niespełniona

A kogokolwiek pochwyci w ramiona,
Tęgo pchnie, pieszcząc, na własną pochyłość, —
I nikt nie zgadnie, że winna wciąż — ona...

I nikt nie zgadnie, jakich żądz zawilość
Chce snem rozstrzygnąć na piersi dziewczęcej,
Co w pocałunkach widzi tylko — miłość.

Im pieści znojnziej, im chciwiej, im więcej,
Tem ci żarliwsze skarg jego płomienie,
Tem odehciewa pewniej i goręcej!

I tem ci większe ramion znieczulenie,
I tego ciała dąs od stóp do głowy,
I gniew pieszczoty, i ust roztargnienie...

Szept mej dziewczyny i zamęt różowy
Warg, moim wargom co chwila wzajemnych,
Znienawidziłem na wyspie w dzień owy.

Bom czuł, że w snach jej pokątnych i ciemnych
Conocnej zbrodni dojrzewają zwłoki,
Niby owoce ogrodów podziemnych.

Ssąc tych owoców jadowite soki,
Szedłem w kraj, zgrozą swych ponęt bezszumny,
W niemiłowania cieniste zatoki...

A jużem błady był i bezrozumny,
Rozradowany czarną w oczach zmorą,
Niby śmierć, której przysniły się trumny!

Niemiłowanie swą żrenicą chorą
Nie mniej pięknego pożąda dziewczęcia,
Jak te, do których i miłość jest skorą.

Chce ująć pieszczot, chce ująć zaklęcia
Nie byle jakich ust znojnym koralom,
By zwiększyć rozkosz owego ujęcia...

I tak przydaje przepychu swym żalom,
Cierniami czesząc posłuszne warkocze,
Nie wzbraniające zamętu swym falom.

Swe kły tygrysie, do żeru ochocze,
Lubi ci karmić różami z wyboru —
I długo patrzy w pierś, nim ją zdruzgocze!

W mym duchu, niby w zielonościach boru,
Zmierch jał się szerzyć — i coś w nim przygasło,
Rzekłbyś: gwiazd kilka w głębi gwiazdozbioru.

Jakby kto hasło zamienił na hasło,
Kryjąc przede mną tę zmianę rozkazu:
Wołałem — echo śmiechem mi odwrzasło.

Czułem powoli, jakby czuciem głazu,
Żem opętany, żem sercem oszalał
Na wyspie owej!... Aż pewnego razu...

Pewnego razu w niebie się dopalał
Dzień i, światłami przebiegając w chmurach,
Na tychże światłach w zamierzch się oddalał.

A była jawna drapieżność w purpurach,
Co się pokładły na piętrach obłoków,
Jak krwawe paszcze na zwikłanych górach.

Pomiędzy dwojgiem dzwoniących potoków
Leżała, łokciem skroń dzieląc od ziemi,
A od snu biorąc brzemię złotych oków.

Od dawna wrodzy byliśmy i niemi,
Sen nas nie łączył, jeno gdzieś zapodział
W dwu różnych światach z myślami różnemi.

Rozstanie

Czyniąc tajemny z całej ziemi podział
Pomiędzy moim, a między jej ciałem,
Różne nam łoża w mrok różny przyodział.

Włos jej pod niebem na wpół zwieczorniałem
Jeszcze dniał złotem ... Więc źrenic przejrzysty
Błękit pod bielą powiek zgadywałem.

Może w ten błękit, jak w miłosne listy
Zbrodnia się wkradła? I przez sen przelotny
Śniła ot — teraz czyjs sen wiekuisty?

Może spoczynek jej był wciąż robotny
Zmorą, weśnioną pilnie w zwłoki mgławce?
W dłoni mej właśnie nóż błyskał samotny.

Jej warkocz, spadły pół-wężem na trawę,
Zdał się zuchwałem, bujnym przedłużeniem
Ukrytej myśli na kark biały — w jawę.

Zrazu weń chciałem ugodzić brzemieniem
Noża, co z dała — utkwiony w namyśle —
Już go na dwoje przecinał swym cieniem.

Morderstwo

A potem chciałem w piersi, co obciśle
Tężyły żywe a ciężkie atłasy,
Ważąc je w ramion czujnem koromyśle.

A potem w skronie, skąd świadomość kraszy,
Krwia pulsująca, — winem się rozlewa
W ciemnościach ciała, gdzie drzemią bezczasy...

A gdym się wahał, niby cień, od drzewa
Wichrem zdmuchnięty na brzegi urwiska,
Postrzegłem, że coś we śnie podejrzewa.

Że się jej ostrze nazbyt w rzęsach błyska,
A sen, jak ślepy kret, ryjący w złocie,
Ów błysk ze swego zwęszył kretowiska.

Wtędym nożowi nadał ruchy kocie,
Ażem go ostrzem zaczął pomiędzy
Oczy, szalejąc w mej krwawej robocie!

Lecz je rozwarła w blask noża i prędeży,
Niżelim pragnął... A one — błękitne —
Wnet pociemniały od przerażeń nędzy!

I po warkoczu złotym niepochwytnie
Dreszcze przebiegły — i także pociemniał!
— «O, spójrz — szepnęła — jak ja czarno kwitnę...»

I nic nie rzekła... A mnie wypodziemniał
Ten skrawek ziemi pod stóp mych przemocą,
I nóż mi wypadł z dłoni i — znikczemniał!

Bo zrozumiałem, że zmierzchłe barw nocą
Jej oczy nigdy już nie zbłękitnieją,
A sploty nigdy już się nie odzłocą!

I że ten wieczór, światel beznadzieją
Krwawiący chmury, nigdy nie przeminie
Nad snami wyspy, gdzie serca szaleją!

I zrozumiałem, że coś we mnie ginie
I coś umiera, — bo wszak nie wiadomo,
Co w nas i w której ma umrzeć godzinie...

Jakiś sen wielki twarzą już znajomą —
Skonał... A straszno zerwać się na nogi
Ze snu takiego nad przepaścią stromą!

Więc, by się wesprzeć snem o jakieś progi,
Wspomniałem nagle dziwnie rzeczywiste
Wonnego siana gdzieś na łąkach stogi...

Cisza się piętrzy wraz z nimi i mgliste
Cienie chmur chodzą po nich bezhałaśnie, —
I już poprzez te stogi pożłociste,

Poprzez te stogi, łąk skoszonych baśnie,
Patrzyłem na nią, wiedząc, że nie wzbroni
Mym oczom takich łąk!... A ona właśnie

Ów nóż podniosła, co wypadł mi z dłoni,
I jęła, niby kołysząc go w śpiewie,
Do ust przykładając, do piersi, do skroni...

I, przykładając, mówiła: «Nikt nie wie,
Co w kim zabija, gdy, jak stopą bosą,
Nagim nań nożem następuje w gniewie.

Tyś zabił we mnie tamtą — złotowłosą,
Co była tobie błękitami gwarna,
Rozmowna słońcem, rozśpiewana rosą.

Lecz pozostała ta druga, ta czarna!
Że uszła tobie i kłom twego noża,
Więc trwa — zbyt uczona, smutna i bezkarna.

I już niczyja i nawet nie boża,
Bo i Bóg nie chce nocować w żrenicy,
Gdzie mają nocleg mroki i bezdroża.

Po złotowłosej odlocie siostrzycy
Trwam ja — samotna, ja — com śniła zbrodnie
I krwi purpurę w srebrze błyskawicy!

Dwie różne we mnie płonęły pochodnie, —
Tyś jedną zgasił... Zgaszoną grześć musisz!
Czyżem wiedziała, że ogień tak chłodnie?

Czyżem wiedziała, czym ducha pokusisz,
Gdy, nie kochając, dotkniesz go pieścizną?
I co w nim zmienisz, podepczesz i zdusisz?

Czyżem wiedziała, że burze mnie zmiotą,
Wspartą oburącz na wyśnionym przęśle
Mostu, wspiętego nad nizin drętwołą?

Czyżem wiedziała, że mi jakieś gęśle
Zdruzgoczesz w duszy i ciśniesz w jezioro,
Co od księżycy wysrebrza się wklęśle?

I że ci czarną objawię się zmorą,
Znaczoną krwawym nienawiści chrzestem
I zbyt śmiertelnie na istnienie chorą?

Dziś mnie kwiat każdy przeraża szelestem,
Bo wiem, że sądzi i widzi mnie inną,
Niżli być mogłam, prócz tej, którą jestem...

Byłam ci Bogu wiadomą i słynną
Z podwójnej mocy, którą we mnie złożył,
I duszę miałam dwojgiem baśni czynną.

Tyś tę jaśniejszą wypłoszył i zmorzył
I bezmiłosnej pieścizny kradzieżą
O cały błękit pierś moją zubożył!

I już me oczy nie wierzą, nie wierzą
W barw niespodzianą, w możliwość błękitu
I czarnej barwie odtąd przynależą.

Coraz to mniej w nich patrzenia i świtu
I przejrzyscieją, jak umarłych dłonie,
Przez które widać złotawość niebytu...

W śmierci się złoć, niby słońce w klonie,
Bo jestem z rodu, co umiera właśnie,
Gdy po raz pierwszy pomyśli o zgonie!»

Mówiła — a jam widział, jak mi gaśnie
W oczach — i opasałem ją ramieniem,
By wspomóc ciało, nim ścichnie i zaśnie.

Zasnęły najpierw oczy pod rzęs cieniem,
A potem piersi zgodne, jak dwie łanie,
Co się nad jednym wstrzymały strumieniem...

A potem usta poszły na skonanie,
A potem ręce — i nóż wypadł z ręki,
Bo go ścisnęła wciąż na pożegnanie.

A jam się patrzył w otworzystość męki —
Między warg sińce — i w oczy, tak mocno
Wbite w mrok śmierci, jak dwa nagie sęki!

I w tę konania pracę bezowocną,
Po której palce prostują się z wolna,
Spełniwszy trud swój w godzinę mąk nocną.

I jeszcze śmierci wysiłkiem mozolna —
Już zaciężała ku ziemi snem ciała,
W którym się tai tęsknota padolna.

Z pomiędzy dwojga strumieni, gdzie spała,
Niosłem ją teraz do przeźroczej chaty,
Ażeby gwiazdom w swej śmierci widniała.

Niosłem przez gąszcze, przez cienie, przez kwiaty
I przez ten wieczór, co światłem majaczył,
Jakby ją dźwigał wraz ze mną — w szkarłaty.

Gdzieś wpobok dąb się od wilgoci paczył
I skrzypiał w sobie lub gałęzi skurczem,
Jeśli o gałąź zwłokami zahaczył.

Gdzieś wpobok — w dziuple, czy w gnieździe wiewiórczem
Nagły się szelest ozywał i ciszę
Łamał na dwoje w jej skupieniu twórczem...

Gdzieś wpobok czuleś, jak mrok chłodem dysze
W gęstwie, gdzie tylko jeden liść bezwczasnie,
Bo po dziennemu lśni się i kołysze...

A my szli ciągle — oboje, jak we śnie, —
Z jednakim trudem, z jednakim pośpiechem
I nierozłącznie i tak jednocześnie!

I, gdyby ziemia rozległa się echem,
Tobyś rozpoznał czworga stóp odgłosy:
Tak razem szliśmy, senni śmierci grzechem...

Niosłem ją pilnie, jak nocne niebiosy
Niesie nurt rzeki w zwierciadeł pochwycie,
Pełniąc się nimi po brzegów ukosy.

Tak ciągle miałem w oczach jej odbicie,
Wciąż przepelniony aż po ramion brzegi
Ciałem, co ciszą wezbrało obficie...

Wieczór, przesiany poprzez drzew szeregi,
Na twarz jej bladą i na pierś niewzbroną
Kładł złote pasma i szkarłatne piegi.

I taką jeszcze światłami osłonną
I piegowatą — wniosłem do świetlicy,
Gdzie dla niej jednej dość było przestronno.

Tam ją złożyłem, pełną tajemnicy,
Wpodłuz a równo, skrzętnie a ostrożnie,
Jak nad brzegami nieznannej krynicy...

A sam się z wnętrza usunąłem trwożnie,
By z innych światów poglądać ubocza,
Jak w śnie niezłomnym spoczywa wielmożnie.

Ledwo nas ściana dzieliła przezrocza...
Gdym zmarłą okiem rozważał i mierzył,
Postrzegłem nagły niepokój warkocza.

Ten — rósł po śmierci, dłużył się i szerzył,
Spóźniony w zgonie — rozszumiał się cały,
Jakby w swej pani zgon jeszcze nie wierzył.

Na pierś jej wpełzał, na kark spadał biały,
W czarnych kędziorach szept skargi przytłumiał,
Szukał tych dłoni, które go cesały...

Znalazł je wreszcie — i wszystko zrozumiał.
I, węsząc bezwład śmiertelnej drzemoty,
Zwikłał się w sobie i tak zanieszumiał.

Wówczas mu chyba pozgonne zaloty
Kazały zmarłą przystroić w żałobie,
Bo się odzłocił nagle — żywiec złoty!...

Kto mu przywrócił ten dar? Czy sam sobie?
Czy chciał, by zmarła w sen nie byle jaki
Szła po dawnemu, we wszystkiej ozdobie?

A może ona sama skroś orszaki
Cieniów, pośmiertnym skupionych kuligiem,
Złote mi zowąd podawała znaki?...

Abym zapragnął... i ramion podźwigiem
Wspiął ku niej brzemień tych kwiatów i woni,
Tropiąc ją w mroku — miłości pościgiem.

Lecz, gdym się wsłuchał w szmer śmierci koło niej
I echem stóp jej odbrzmiałe zaświaty, —
Już dalszą była, niżli tentent koni!...

Gdym ku niej myśli posyłał we swaty,
By ją po śmierci myślami poślubić,
Tom zląkł się nagle zbyt przezroczej chaty!...

I w myślach duchem począłem się gubić —
Jak kochać zmarłą?... Co zmarłej obiecać?...
I czym nasycić? I jak przyhołubić?...

A już się poczał wiatr po jarach wzniecać
I zmierzch ze światłem prząść w jedną tkaninę,
I chmury czarne ze złotymi sklecać,

I zezem oka spostrzegłem, że sine
Jej stopy — prosto przed się wyciągnięte —
Zdają się jedną wskazywać godzinę...

Ucieczka

I że, w tej samej godzinie poczęte,
Myśli me, czarną obleczone szatą,
Biegły w kierunku tych stóp — w ich ponętę!

Więc jałem nagle uchodzić przed chatą,
Przeświecającą zwłok dziewczęcych bielą,
Niby zbyt kowną dla ziemi poświatą.

Biegnać, słyszałem, jak kwiaty się ścielą
Wichrem po ziemi, — i jak wichry przeczy
Drzewom, co szumem od nieba się dzielą!

Słyszałem potem niby płacz wszechrzeczy
Na wyspie, kędy wśród gąszczów zieleni
Ja tylko jeden miałem kształt człowieka!

I biegłem, kształt swój unosząc wśród cieni
Wylęklých dębów i brzoź, i olszyny,
Bojąc się odbić w zwierciadłach strumieni —

I ujrzeć trafem twarz, pełną przewiny,
Twarz ludzką — obcą i tak niepojętą
Dla wszelkiej, ziemię zdobiącej, rośliny!

Twarz, co pragnęła, by bladość jej zżęto
Sierpem księżycy i zrównano właśnie
Z macierzankami, z piołunem lub z miętą...

Echem w dokołne rozległy się baśnie
Stóp mych od wyspy ku morzu powroty, —
Tam czekał okręt, wpatrzony w fal jaśnie.

Przerósł on życia własnego kres złoty
I już się w Bogu grążył swym nadmiarem,
Na ziemi mało mając do roboty.

Wbiegłem na pokład i ciała ciężarem
Przywarłem duszę do miejsca, aż zbladła
Bez tchu — błękitnym drgająca oparem...

A wonczas, mącąc mórz jasne zwierciadła,
Wyspa się w nagle rozluźniła cienie
I rozechwiała się w szmer i — przepadła!

Fale się nad nią we ślubne pierścienie
Skędzierzawiły... Gdym zliczył secinę —
Ostatnie po niej zanikło wspomnienie.

A ja, nie wiedząc, gdzie teraz popłynę,
Wichrowi żagiel podałem rozpięty
I na szerokość zmierzyłem głębinię —

I wypłynąłem na morskie odmęty.

V

Duchu mój, wbiegły w brzask niebieskich kopuł,
Zawadzający skrzydłami z wysoka
O nawał Boga, jak o senny szkopuł!...

Święć się twój pobyt i miłosna zwłoka
Na piersi ziemi, wybuchłej rozkwitem
Pod warg twych musem i pod strażą oka!

Święć się wiosenny twój płacz nad zarytem
W murawach szczęściem, gdy rozsmiane gardło
Łka, zachłyśnięte sercem i błękitem!...

Święć się twój nagły dreszcz nad obumarłą
U stóp twych burzą, po której pogrzebie
Dwoje się oczu dziewczęcych zawarło.

Święć się twój udar słoneczny na niebie,
Gdy — nieprzytomny — zasłaniasz się dłonią
Od blasku śmierci, co oślepił ciebie!

Zwól — niechaj szumią i szemrzą, i dzwonią
Chóry niczych, bezimiennych głosów,
Od których usta przelęknięte stronią...

Zwól — niech na żyznym błękicie niebiosów
Oblędna brzoza — wbrew ziemi — wyrośnie,
By coś tam zmącić zielonym snem włosów!...

I niech twe ciało, podane ku wiośnie,
Wicher ci zszarpie, niby płaszcz, ulewą
Twych lez bezwolnych przemokły radośnie!

Czemu tak patrzysz w okrętowe drzewo,
Gdzie przepych lasów od dawna zbeżlistniał?
I w wicher patrzysz, bielący się mewą?

Czyliś się nie dość, ty — duchu, naistniał?
Nie dość nachłonął i brzasków, i cieni,
Gdzie się niejedyn sen uoczywistniał?

Rozpielgrzymiony po wirach bezdeni
Dokądże dążysz? Jakaż baśń w przestworze
Poprzód twych oczu we mgłę się zieleni?

Wściągnij się w siebie, zesłabnij w pokorze,
Na pierwszym łądzie z pierwszym oto płazem
Wij się i czółgaj, wspominając morze!

Klękniemy kornie przed kwiatem, przed głazem,
We mgłach — na łąkach — u wylotu alej, —
Gdziekolwiek można — tam klękniemy razem!

I błogosławmy naokół i dalej
Motylom — kwiatom — i ptakom — i pszczołom, —
A ty mi wówczas, błogosławiąc, szalej!

I małuczkością świata się oszołom!
I pobłogosław zjawionym w śnie twarzom,
I ze snu głębi wychylonym czołom —

I zagubionym w sobie wirydarzom,
Gdzie ślady stóp się skradają i łaszą
Do gęstwy, cieniów zostawionej strażom.

I szczęścia widmom, co nęcą i straszą,
I utraconej na zawsze dziewczynie,
Która być mogła — a nie była naszą...

I wszelkiej męce i wszelkiej przewinie,
I wszelkim innym, nieznanym dziewczętom,
Które w nieznaną czekają krainie!

I wszelkim morzom i snom, i okrętom!...

Morze, Modlitwa, Ziemia,
Natura

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nieznana-podroz-sindbada-zeglarza>

Tekst opracowany na podstawie: Lesmian, Bolesław (1878-1937), *Sad rozstajny*, J. Mortkowicz, Warszawa 1912.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Sylwia Stępkowska.

Okładka na podstawie: amira_a@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0498-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.